

Tematy tygodnia

- 12 Martyna Bunda
**Czego nas uczy
Brigitte Macron?**
- 16 Mariusz Janicki
Wiesław Władyka
Ta straszna Platforma

Polityka

- 19 Rafał Kalukin
**Kto, kogo, kim, czym
w prawicowych mediach**
- 22 Anna Dąbrowska
Wojciech Szacki
**Minister Jaki – twarz
nowej sprawiedliwości**

Społeczeństwo

- 26 Joanna Podgórska
**Młodzież narodowa,
czyli kłopoty z męskością**
- 30 Aleksandra Żelazińska
**Bardzo patriotyczna
Poczta Polska**
- 32 Marta Mazuś
Niepokorny obywatel
- 34 Edyta Gietka
W Bogatyni czczą czy kpią?
- 36 Bartosz Józefiak
**Wieczne czekanie
na mieszkanie (komunalne)**

Rynek

- 38 Rozmowa z historykiem
gospodarki **Walterem
Scheidelem** o tym, jak wojny
wyrównują nierówności
- 41 Cezary Kowanda
**Telekomy kręcą
z roamingiem**

Świat

- 50 Marek Świerczyński EUROPA
NATO zwiera szyki
- 53 Jędrzej Winiecki CHINY
**Dokąd zaprowadzi
jedwabny szlak**
- 56 Aleksandra Lipczak HISZPANIA
Ekshumować gen. Franco!

Historia

- 58 Jan Skórzyński
**Skuteczna głódówka
u św. Marcina**
- 61 Kim są i kim byli Łemkowie
– opowiada laureat Nagrody
Historycznej POLITYKI
Antoni Kroh



16

Schetyna szuka większości



26

Młoda siła



53

Jedwabny szlak czy złoty miraż?



100

Opole na froncie politycznym

- 64 Adam Krzemiński
**Na jakich Niemców
zasługujemy**

Nauka

- 68 Sławomir Kosieliński
Piotr Rutkowski
**Jesteśmy na polu
cyberbitwy**
- 71 TECHNOECHO
- 72 Agnieszka Krzemińska
**Tajemnicza maszyna
z Antyktery**

Kultura

- 78 Aneta Kyzioł
**Jaki będzie
nowy Stary Teatr**
- 82 Michał R. Wiśniewski
**Realne sukcesy
virtual reality**
- 86 KAWIARNIA LITERACKA
Renata Lis
- 88 Mirosław Pęczak
**Pół wieku z Sierżantem
Pieprzem**
- 92 Marcin Zwierchowski
**Chińska science fiction
przekroczyła mur**
- 95 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

Ludzie i style

- 96 Paweł Walewski
**Modne pobudzacze,
które nie działają**
- 100 Bartek Chaciński
**Jak Jacek Kurski
zniszczył festiwal**

Na własne oczy

- 108 Tekst Joanna Leszczyńska
fotografie Anna Musiałówna
Klinika naprawy rodziny

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 74 Afisz • 102 Passent
- 103 Chutnik i Plebanek
- 104 Hartman • 105 Tym
- 106 Do i od redakcji
- 107 Fusy, plusy i minusy
- 114 Polityka i obyczaje

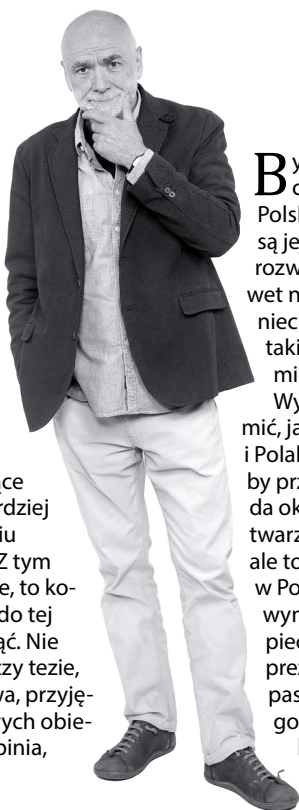


SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Ludzie o niejasnej karnacji

Przy okazji dyskusji o uchodźcach obalane są fałszywe mity dotyczące chrześcijaństwa. Posłanka Pawłowicz twierdzi np., że wbrew temu, co opowiadają biskup Pieronek i kardynał Nycz, uruchamianie korytarza humanitarnego dla uchodźców „nie ma nic wspólnego z chrześcijaństwem”. Pseudochrześcijańskie uwagi Pieronka i Nycza o potrzebie jakichś korytarzy to tylko próba odwrócenia uwagi od prawdziwej misji chrześcijaństwa, jaką jest walka z pigułką „dzień po” i obrażaniem Pana Jezusa w spektaklach teatralnych.

Przykre, że Pieronek i Nycz, których do tej pory kojarzyliśmy z chrześcijaństwem, otwarcie głoszą tezy niemające z tą religią nic wspólnego. Wygląda na to, że o wiele bardziej chrześcijański jest rząd Beaty Szydło, bo o przyjmowaniu uchodźców i uruchamianiu korytarzy nie chce słyszeć. Z tym że opinia, że ten rząd w ogóle uchodźców nie przyjmuje, to kolejny mit, bo liczby mówią wyraźnie, że Polska przyjęła do tej pory 0 proc. uchodźców, których zobowiązała się przyjąć. Nie jest to dużo, ale fakt, że te 0 proc. jednak przyjęła, przeczy tezie, że w ogóle nie przyjmuje. Inne kraje, np. Litwa czy Łotwa, przyjęły niewiele więcej, bo zaledwie 4 proc. uchodźców, których obiecały przyjąć, mimo to nie wiadomo, dlaczego panuje opinia, że Litwa czy Łotwa uchodźców przyjmuje, a Polska nie.



Być może Polska przyjęłaby więcej niż 0 proc. uchodźców, gdyby to nie byli uchodźcy narzuceni jej przez UE. Polska nie zgodzi się na przyjmowanie uchodźców, którzy są jej narzuceni i przyjeżdżają, bo muszą, ale gotowa byłaby rozważyć przyjęcie tych, którzy przyjeżdżać nie muszą, a nawet nie chcą i dlatego nie ma obaw, że przyjadą. Niestety, niechętna Polsce Bruksela od początku wciska nam tylko takich, którzy wiadomo, że przyjadą, i którzy zdaniem premier Szydło z tego powodu w ogóle nie wchodzi w grę.

Wybierającym się do Polski uchodźcom należy uświadomić, jak wielkie zagrożenie stwarzają w ten sposób dla Polski i Polaków, a także, niestety, dla siebie. Świadczy o tym choćby przypadek pobitego weterynarza z Krosna, który co prawda okazał się Polakiem, ale zdaniem sprawców kolorem twarzy przypominał Syryjczyka. Każdy się może pomylić, ale to nieporozumienie pokazuje trudną sytuację żyjących w Polsce osób o ciemnej karnacji. Z policyjnych statystyk wynika, że ciemna karnacja jest w Polsce bardzo niebezpieczna dla zdrowia i życia, a z konferencji prasowych prezesa PiS – że posiadacze takiej karnacji są nosicielami pasożytów, pierwotniaków i religii muzułmańskiej. Dlatego trudno się dziwić, że żyjące w Polsce osoby o ciemnej karnacji bywają łapane przez policję i patrole obywatelskie i przetrzymywane w aresztach aż do wyjaśnienia.

Już za tydzień! Tylko z tygodnikiem POLITYKA!

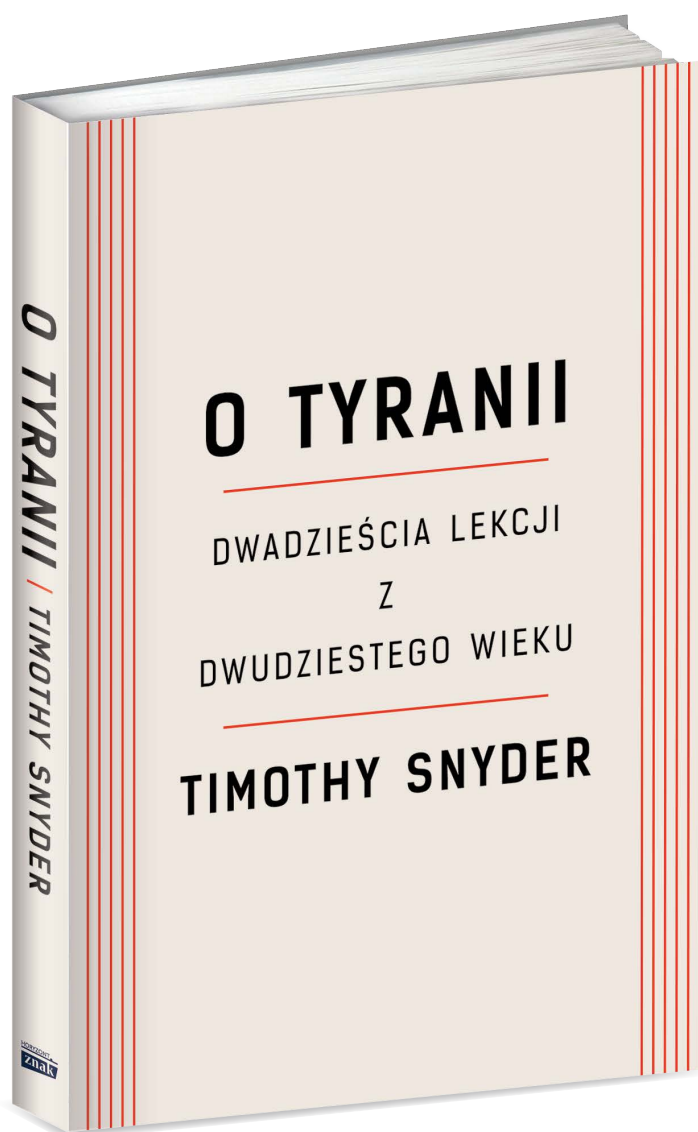
Premiera światowego bestsellera

Timothy Snyder „0 tyranii”

||||| Porywający esej wybitnego amerykańskiego historyka, znawcy dziejów Europy Środkowej i Wschodniej |||||

||||| Dwadzieścia lekcji dla współczesnych z tragicznej historii XX wieku |||||

Jak żyć w dobie tryumfu populizmu? ||||| Jak przeżyć w czasach politycznego szaleństwa? ||||| Jak bronić demokracji?



Lektura obowiązkowa dla wszystkich, którzy wierzą, że zawsze warto być przyzwoitym.

Już teraz zamów na www.sklep.polityka.pl

20 lekcji prof. Snydera



Jerzy Baczyński

Ważna zapowiedź: już za tydzień do części nakładu POLITYKI dołączymy książkę zawierającą, dotąd niepublikowany po polsku, głośny na świecie esej Timothy'ego Snydera „O tyranii”, napisany w końcówce minionego roku, po wyborze Donalda Trumpa na prezydenta USA. We wstępie do polskiego wydania Snyder zauważa, że co prawda tekst był kierowany do obywateli Ameryki, ale nie dziwi go „jeśli niektóre fragmenty brzmią znajomo” także w dzisiejszej Polsce. Powiem od razu: brzmią bardzo znajomo. To jeden z najciekawszych dziś tekstów o źródłach współczesnego populizmu i jego możliwych skutkach, tym bardziej przejmujący, że napisany nie przez politologa, ale wybitnego historyka, który większość swoich prac poświęcił opisowi i analizie XX-wiecznych totalitaryzmów – komunizmu i faszyzmu – oraz procesom upadku systemów demokratycznych. Timothy Snyder, profesor uniwersytetu w Yale, jest zresztą w Polsce doskonale znany. Jego książka o ludobójstwie w Europie Środkowo-Wschodniej w latach 1933–45 („Skrwawione Ziemie. Europa między Hitlerem i Stalinem”, 2015 r.) uzyskała u nas status bestsellera porównywalnego jedynie z książkami innego znającego polskie dzieje anglosaskiego historyka Normana Daviesa. W eseju „O tyranii” Snyder wciąż odwołuje się do przykładów historycznych z naszego regionu (często także do historii Polski). Dał mu podtytuł „20 lekcji z 20 wieku”.

Publikujemy, wspólnie z Wydawnictwem Znak, tę książeczkę (na lekturę wystarczy godzina–półtorej) w tygodniu, w którym powinniśmy obchodzić Dzień Wolności 4 czerwca, czyli dziś – używając retoryki władzy – Święto Wyklęte. Ten esej mógłby mieć od nas dodatkowy podtytuł „do czytania 4 czerwca”, bo w gruncie rzeczy jest to Rozprawa o Wolności, najcenniejszej, ale i najmniej docenianej wartości demokracji. Snyder zastanawia się, dlaczego ludzie dobrowolnie, na ogół zgodnie z demokratycznymi regułami, powierzają swoją wolność kolejnym demagogom i jakimi mechanizmami posługują się autorytarne władze, by potem rozszerzać kontrolę nad obywatelami. Tytuł „O tyranii”, jeśli w tym eseju szukać jakichś aluzji do współczesnej Ameryki lub Polski, wydaje się przesadny, a analogie historyczne odległe. Ale Snyder rozumie tyranie w klasycznej, antycznej wersji – jeszcze nienasyconej krwią, jak totalitarne tyranie XX w. – dla niego współczesna „tyrania” to uzurpacja władzy przez jednostkę lub grupę oraz obchodzenie prawa przez rządzących. To narzuca-

nie i utrwalanie władzy jednej partii lub charyzmatycznego wodza, zawłaszczanie symboli, przechodzenie od agresji słownej do fizycznej i pseudoprawnej. Książka jest o tym, jak działają mechanizmy zarządzania strachem (zwłaszcza przed „obcymi” i przed terrorem), jak odbywa się wykupowanie wolności i praw obywatelskich w zamian za obietnice bezpieczeństwa i dobrobytu i jak społeczeństwa ulegają, wciąż tym samym, manipulacjom. Ale przede wszystkim książka jest o tym, co można i trzeba zrobić, zanim będzie za późno.

Dwadzieścia zaleceń Snydera to bardzo specyficzny, wydedukowany z historii XX w., podręcznik samoobrony społecznej. Niektóre z jego rad przypominają instrukcje kolportowane przez polską opozycję demokratyczną w czasach PRL. Ale są też odniesienia wyraźnie współczesne, osadzone w dzisiejszej kulturze mediów społecznościowych, postprawdy, globalizacji, terroryzmu. Nie odbierając przyjemności (i zgrozy) tej lektury, przywołam hasłowo kilka Snyderowskich „lekcji z XX wieku”: nie bądź z góry posłuszny; pamiętaj o etyce zawodowej; nasłuchuj niebezpiecznych słów; bądź tak odważny jak potrafisz.

Najciekawsze jest, przy pomocy jakich przykładów i argumentów Timothy Snyder rozwija te – czasem bardziej oczywiste, czasem zaskakujące („Chroń swoją prywatność”) – sugestie. Np. w sprawie prywatności autor, przez lata studiujący metody autorytarnych reżimów, zwraca uwagę, że „tyrani” zawsze szukają haków na swoich przeciwników i to głównie w ich życiu prywatnym. Zacieranie granic między sferą publiczną a prywatną to jeden z wyróżników dyktatury. „A nikt się nie obroni, jeśli jego prywatne sprawy zostaną w złych intencjach wystawione na widok publiczny”. Taka władza nie polemizuje z argumentami oponentów, ale, przy pomocy propagandowego szczucia, próbuje ich poniżyć, sugerować ich rzekomą niemoralność, interesowność, nieczyste powiązania. Każdy, kto wchodzi w konflikt z niedemokratyczną władzą, musi się liczyć z pomówieniami, także atakiem na swoją prywatność. I powinien mieć tu wsparcie bliskich i środowiska.

Wogóle wiemy już, jak – wobec opresji i uzurpacji władzy – ważna jest solidarność środowiskowa. Przykład takiej spontanicznie narastającej solidarności mamy teraz w związku z festiwalem w Opolu, bojkotowanym przez coraz liczniejszych czołowych artystów (patrz s. 100). Przypominają się akcje z czasów stanu wojennego, słusznie zaliczane do dumnej legendy polskich środowisk twórczych. Jeszcze moment i wróci stare hasło bojkotu TVP: „Nie oglądamy, nie występujemy, nie płacimy!”. Taką demonstracją oporu przeciw łamaniu konstytucji był katowicki zjazd polskich prawników (s. 7). Nawiasem mówiąc, 25 maja, równo w 20. rocznicę referendum konstytucyjnego, w siedzibie POLITYKI odbędzie się seminarium poświęcone funkcjonowaniu polskiej konstytucji – z udziałem m.in. prezydentów Kwaśniewskiego i Komorowskiego, pięciu byłych marszałków Sejmu, premierów, profesorów prawa, praktyków. To znów ten sam sygnał: PiS wygrał wybory, ale to nie daje tej partii żadnego prawa do obchodzenia, jawnego łamania czy nielegalnych prób zmiany konstytucji. Nie ma prawa i nie ma zgody.

Prof. Snyder swój esej opatrzył mottem z Leszka Kołakowskiego: „Być oszukanym w polityce nie jest usprawiedliwieniem”. Opozycja chyba coraz lepiej to rozumie.

Jan Koza



© JAN KOZA

Władza kontra prawnicy

Kongres Prawników Polskich pokazał władzy PiS lustro – i opinia publiczna zobaczyła jej niepiękną twarz. Prawnicy krytykowali i mieli konkretne propozycje – władza obrażała.



© TOMASZ KAWKA/EAST NEWS

Kongres Prawników Polskich – pierwszy od 1936 r. – zorganizowały w Katowicach samorządy adwokacki i radcowski oraz Stowarzyszenie Sędziów Iustitii. Ale pojawili się przedstawiciele wszystkich prawniczych zawodów, łącznie z naukowcami i prokuratorami. Przez władze PiS kongres został „sprzedany” medialnie jako atak prawników na demokratycznie wybraną władzę i na społeczeństwo. „Wycie jak na stadionie i odwracanie się plecami »elit prawniczych« zostanie symbolem tego »kongresu«. Tak traktują codziennie też ludzi...” – tak przebieg kongresu skomentował wiceminister sprawiedliwości Patryk Jaki – którego tam nie było (sylwetka – s. 22). Tym wyznaczył ton komentarzy polityków PiS.

Kongres był prawnikom potrzebny, żeby poczuł się solidarni, policzyli się i upewnili, że postawy kolaboracyjne – nastawione na współpracę z władzą dla kariery, kosztem wierności prawu – nie są w środowisku ani normą, ani postawą powszechnie akceptowaną. Owacją na stojąco przywitano pierwszą prezes Sądu Najwyższego Małgorzatę Gersdorf i wiceprezesa Trybunału Konstytucyjnego Stanisława Biernata, któremu mianowana przez prezydenta prezesem Julia Przyłębska uniemożliwia orzekanie. Przemawiali szefowie samorządów prawniczych i RPO Adam Bodnar. Przyjechał i przemówił w obronie niezależnego od władzy politycznej systemu wymiaru sprawiedliwości prezes Trybunału Sprawiedliwości UE Koen Lenaerts. Mówił, że demokracja (na którą tak lubi powoływać się PiS) bazuje na niezawisłości sędziów i niezależności sądów. – *Rolą prawnika jest bronić konstytucji i prawa. „Yes, You can!”* – zakończył, parafrazując hasło wyborcze Baracka Obamy.

Władza PiS zaszczyliła kongres obecnością – i to się jej chwali. Wprawdzie nie przybyli ani prezydent (choć był na jesennym Kongresie Adwokatury), ani minister sprawiedliwości, ale przysłali przedstawicieli. Jednak nie z misją wyciągniętej ręki, tylko strofowania z pozycji zwierzchników. Bo według koncepcji PiS władze w Polsce nie powinny być równorzędne, jak głosi konstytucja, ale podporządkowane zwycięskiej partii.

Prezydencki minister Andrzej Dera odczytał list, w którym prezydent napomina sędziów, by nie brali udziału w debacie publicznej, bo, zdaniem prezydenta, tego im robić nie wolno. Uczestnicy kongresu zareagowali buczeniem i okrzykami „konstytucja, konstytucja” – co zostało określone przez wiceministra Jakiego jako „wycie”. Potem reprezentujący ministra sprawiedliwości wiceminister Marcin Warchoł wypomnił środowisku sędziowskiemu, że skazało, w czasach PRL kilkuset „patriotów”, a potem się z tych sędziów nie oczyściło. Nie oczyściło się, fakt, ale jaki to ma wpływ na dzisiejsze działania wymiaru sprawiedliwości? Znaczna większość tych sędziów już nie orzeka. Dalej minister uznał, że pojedyncze przypadki łamania przez sędziów prawa świadczą o całym środowisku (co w takim razie powiedzieć o politykach?). Na te słowa uczestnicy kongresu po prostu wyszli z sali, co zostało nazwane przez wiceministra Jakiego zachowaniem stadionowym.

PiS uznaje środowisko prawnicze za zagrożenie, bo może ono skutecznie stawiać opór pomysłom przekształcenia ustroju Polski w jednowładztwo, pod przewodem zwycięskiej partii uznającej się za „suwerena”. Dlatego PiS dba, by w opinii publicznej sprowadzić kongres do imprezy, której celem była

obrona interesów „korporacji” prawniczych, przeciw interesom ludzi. „Elity prawnicze” należy – jak wszelkie elity w Polsce – „wymienić”. Do tego sprowadza się pomysł PiS na reformę wymiaru sprawiedliwości. I do poddania go władzy politycznej. W ten sposób ma nastąpić „uspołecznienie” wymiaru sprawiedliwości: obywatele będą się skarżyć władzy, a ta będzie przywoływać do porządku sędziów, adwokatów, radców prawnych, prokuratorów. I część społeczeństwa to kupuje.

Na kongresie przedstawiono kilka konkretnych pomysłów na uczynienie wymiaru sprawiedliwości bardziej przyjaznym ludziom. Nie wszystkie wymagają zmian legislacyjnych i pieniędzy – jak np. obniżenie jednych z najwyższych w Europie opłat sądowych czy uproszczenie procedur. A więc nie wszystkie zależą od PiS. Np. edukację prawną, szczególnie dzieci i młodzieży, prawnicy prowadzą już dziś – *pro bono*. Sędziowie z Iustitii przeszkolili kilka tysięcy uczniów w mediacyjnym rozwiązywaniu sporów. Bo nie każda sprawa musi kończyć się procesem, można się dogadać, tylko trzeba umieć.

Kongres był sukcesem, bo środowisko prawnicze umówiło się na dalszą współpracę. Ma powstać Społeczna Komisja Kodyfikacyjna przygotowująca projekty aktów prawnych i opinie o propozycjach rządu. Co z tymi rozwiązaniami zrobi rząd PiS – zobaczymy. Ale żadna władza nie jest wieczna. Rozwiązania wypracowane przez Centrum Obywatelskich Inicjatyw Ustawodawczych Solidarności w latach 80. przydały się w rozmowach przy Okrągłym Stole i w reformie wymiaru sprawiedliwości po 1989 r. Może historia się powtórzy. Tym bardziej że propozycje PiS – uzależnienie sądownictwa od władzy partyjno-państwowej – to powrót do sytuacji z PRL. Kongres ustalił, że ma powstać Biała Księga działań ustawodawczych władzy niezgodnych z konstytucją. Mają być też dokumentowane bezprawne naciski władzy na prawników.

Czy to wypali? Jeśli nie – o przyszłości wszystkich prawników można wnioskować z losu prokuratorów, którzy zostali całkowicie podporządkowani rządowi. Opowiedział o tym na kongresie Krzysztof Parchimowicz, prezes Stowarzyszenia Prokuratorów Lex Super Omnia: jedna szóstka prokuratorów została zdegradowana, a w prokuraturach rejonowych nie ma kto pracować, bo prokuratorów dyspozycyjnych deleguje się do prokuratur wyższego stopnia, by tam pilnowali interesu władzy. Są posłuszni, bo prokurator generalny Zbigniew Ziobro może ich odwołać z powrotem do prokuratury rejonowej.

Bardzo podobne przepisy PiS szykuje na sędziów. Pytanie, ilu znajdzie dyspozycyjnych prezesów sądów, którzy będą wykonywać polecenia ministra: przesuwając sędziów między wydziałami i dając wrażliwe dla władzy sprawy do osądzenia sędziom zaufanym. I ilu sędziów zechce orzekać po myśli władzy?

EWA SIEDLECKA

O „Ślązaku”, ministrze i złotej rybce

W opowiadaniu bajek minister Antoni Macierewicz osiągnął wyższy stopień specjalizacji. Prawie 14 miesięcy temu obiecał, że wkrótce uratowana zostanie Stocznia Marynarki Wojennej, która od kilku lat dryfowała pomiędzy ogłoszoną upadłością a niedoszłym zamknięciem.

Dopiero 11 miesięcy po tej obietnicy udało się doprowadzić do próby przejęcia stoczni przez kontrolowaną przez MON Polską Grupę Zbrojeniową. PGZ wpłacił nawet 22 mln zł wadium syndykowi masy upadłościowej, ale okazało się, że negocjacje w sprawie przejęcia SMW utknęły w martwym punkcie.

Wobec impasu w rozmowach i wizji niewypłacalności kilka dni temu z odsieczą przybył Inspektorat Uzbrojenia, który po raz kolejny dosypał stoczni pieniędzy na dokończenie ORP „Ślązak”. Okręt budowany jest w tym zakładzie już od ponad 16 lat. Chociaż był już dwa razy wodowany, a nawet ma już trzeciego w swojej historii kapitana, to nadal nie przepłynął samodzielnie nawet jednej mili morskiej. „Ślązak”, zwany wcześniej „Gawronem”, który przez kilka lat budowany był tzw. metodą beznakładową, a nawet co najmniej dwa razy próbowano sprzedać go na żyletki, jest już właściwie ukończony. W zeszłym roku zamontowano na nim armatę dziobową. Ma już również radary i systemy nawigacyjne. Trwa wykańczanie kajut. W pełni wyposażony jest mostek, a na ostatniej prostej jest doposażanie centrum kierowania ogniem. Wkrótce uruchomiona ma być maszynownia. Jednak jeśli szybko nie nastąpi przełom w rozmowach PGZ z syndykami masy upadłościowej, to na dno pójdzie nie tylko sama stocznia, ale również niemal ukończony okręt. Przy okazji PGZ przepadnie wadium. Wygląda na to, że sytuację może uratować tylko złota rybka. JUL



© WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

KOMENTARZ

Spiski wiecznie żywe



Marcin Rotkiewicz

Kanał TVN7 wyemitował film „Zaszczepieni”, który wyreżyserował Andrew Wakefield, były lekarz, głoszący, że trójskładnikowa szczepionka przeciw odrze, śwince i różyczce (ang. skrót to MMR) może wywoływać u dzieci autyzm. W zapowiedziach filmu napisano m.in., że „przedstawia on dowody na działania agencji rządowych i koncernów farmaceutycznych, których celem jest ukrycie niepożądanych skutków ubocznych niektórych z dostępnych na rynku szczepionek”. Brzmi sensacyjnie i groźnie, prawda? Tyle że „Zaszczepieni” to bazująca wyłącznie na emocjach (zawiera wiele scen z dziećmi cierpiącymi na autyzm) i teoriach spiskowych antyszczepionkowa propaganda w najgorszym wydaniu. Dla-

tego w 2016 r. jury prestiżowego Tribeca Film Festival postanowiło wycofać go z pokazów.

Twórca tego filmu, brytyjski gastroenterolog Andrew Wakefield w 1998 r. opublikował w prestiżowym piśmie medycznym „The Lancet” pracę (ściślej mówiąc, był jej głównym autorem) sugerującą – na podstawie badania zaledwie 12 dzieci – związek szczepionki MMR z autyzmem. Wywołało to burzę w mediach i panikę wśród rodziców, ale od początku budziło poważne wątpliwości ekspertów. Jednak dopiero wieloletnie śledztwo brytyjskiego dziennikarza Briana Deera wykazało, że publikacja ta jest oszustwem. Co więcej, Wakefield brał udział w pracach nad alternatywną szczepionką wobec MMR, a od prawników chcących pozywać za wywołanie autyzmu u dzieci producentów MMR zainkasował 435 tys. funtów (ponad 2 mln zł). Ustalenia Deera potwierdziła The British General Medical Council, która w 2010 r. pozbawiła Wakefielda prawa wykonywania zawodu lekarza w Wielkiej Brytanii, a „The Lancet” wycofał głośny artykuł. Wakefield wyjechał do USA, ale do dziś twierdzi, że jest niewinny i padł ofiarą spisku firm farmaceutycznych.

Powyższych faktów widzowie TVN7 nie mieli jednak szansy poznać. Przed emisją „Zaszczepionych” odbyła się 10-minutowa dyskusja, w której wziął

udział główny inspektor sanitarny Marek Posobkiewicz, autorka bardzo dobrej książki o szczepionkach Izabela Filc-Redlińska oraz Jerzy Jaśkowski, przedstawiony jako emerytowany lekarz i przeciwnik szczepień. W internecie można znaleźć opowieści Jaśkowskiego o tym, jak teorię ewolucji rozpropagowali Żydzi, wykupując książkę Karola Darwina, bo żona tegoż była córką Marksa, toksyny w mleku UHT rozpuszczają kości, a rosyjskie i amerykańskie łodzie podwodne swoim gorącym niszczą góry lodowe, co mylnie przypisuje się globalnemu ociepleniu. Stacja TVN7 musiała wiedzieć, że udostępnia nierzetelny film, gdyż przesunęła jego emisję z kwietnia na maj po protestach, m.in. Naczelnej Izby Lekarskiej. Mimo to nie zrezygnowała z jego wyświetlenia. Dodała tylko listek figurowy w postaci krótkiej dyskusji, do której zaprosiła pseudoeksperta.

Bycie dziennikarzem nie polega na dzieleniu się z widzami, słuchaczami lub czytelnikami każdą usłyszanaą bzdurą, nawet jeśli brzmi ona atrakcyjnie. Ani na urządzaniu dyskusji, czy Ziemia jest płaska czy okrągła, oraz kwitowaniu ich stwierdzeniem: jak państwo widzą, opinie w tej kwestii są podzielone. Strasząc ludzi fałszywymi informacjami pochodzącymi od oszustów, skłaniamy ich do niebezpiecznych zachowań, w tym wypadku nieszczepienia dzieci.



O Mazowieckim, preambule i prezydencie Dudzie

Za kilka dni 20. rocznica referendum konstytucyjnego, Andrzej Duda wzywa do zmiany konstytucji i do referendum (a przecież obecna konstytucja mu nie przeszkadza!) – jest to więc dobry moment, abym jako członek tamtej Komisji Konstytucyjnej przypomniał, czego potrzeba, aby uchwalić ustawę zasadniczą.

W Komisji Konstytucyjnej toczyły się wtedy merytoryczne dyskusje, jakich dziś w parlamencie nie uświadczysz. Wśród nich na plan pierwszy wybija się zdecydowanie debata wokół preambuły. Nabrała ona szybko charakteru symbolicznego, tekst preambuły jest często cytowany jako przykład porozumienia ludzi różnych poglądów i światopoglądów – warto zatem opisać kulisy powstania jej ostatecznego kształtu.

Projekt, oparty na tekście krakowskiego publicysty Stefana Wilkanowicza, przedstawił Tadeusz Mazowiecki. Klub SLD był sceptyczny wobec jakiegokolwiek preambuły, niemniej – dostrzegając pewne zalety tej idei – upoważnił mnie do prowadzenia w tej kwestii rozmów i uzgodnień. W tym celu spotykałem się z Tadeuszem Mazowieckim w Sejmie, ale często uzgadniałiliśmy tekst, podróżując samochodami po Polsce i posługując się telefonami komórkowym, a że tzw. pole często zanikało – uzgadnianie nierzadko zajmowało sporo czasu. Mazowiecki jako katolik (naciskany także przez Kościół) chciał, aby preambuła zawierała odwołanie do Boga i chrześcijańskich korzeni naszego narodu i państwa. Rozumiałem to i akceptowałem, ale uważałem, że powinniśmy zadbać, aby przyjęte sformułowania, satysfakcjonując wierzących, nie dyskryminowały niewierzących i areligijnych. Chodziło o to, aby kwestia wyznawania lub niewyznawania religii nie dzieliła Polaków, a żaden z systemów wartości, które wierzący i niewierzący wyznają, nie był konstytucyjnie określany jako system lepszy lub gorszy. Poniższe przykłady pokażą, jak wyglądało „ucieranie” tekstu.

Najpierw kluczowy fragment projektu: „My obywatele polscy, wierzący w Boga, który jest źródłem prawdy, dobra i piękna...”. Zwróciłem uwagę, że sformułowanie „który jest źródłem...” sprawia wrażenie, że konstytucja definiuje cechy Boga, a jednocześnie przesądza, że innych niż Bóg źródeł nie ma. W zasadzie trzeba by napisać „wierzący w Boga, który dla nich jest źródłem”, ale nie byłoby to ani poprawne gramatycznie, ani eleganckie. Po dyskusji uzgodniliśmy sformułowanie: „wierzący w Boga będącego źródłem...” (uwaga: bez przecinka między „Boga” a „będącego”), co lepiej oddaje, że to wierzący, a nie sama konstytucja, obdarzają Boga tymi właściwościami, a zarazem nie zamyka to dostępu innym do innych „źródeł”. O tych „innych” mówiło następne zdanie, ale po różnych przekształceniach też wymagało korekty, początkowo brzmiało bowiem następująco: „...jak i nie dzielący tej wiary, a wyznawane przez siebie wartości wywodzący z innych źródeł”. Zauważyłem, że takie sformułowanie sugeruje, że niewierzący niekoniecznie wyznają takie wartości, jak prawda, dobro i piękno. Mazowiecki przyjął tę uwagę i po zmianie oraz dodaniu do cech „boskich” jeszcze „sprawiedliwości” uzyskaliśmy końcowy, naprawdę piękny i wyważony tekst: „My, Naród Polski – wszyscy obywatele Rzeczypospolitej, zarówno wierzący w Boga będącego źródłem prawdy, sprawiedliwości, dobra i piękna, jak i nie dzielący tej

wiary, a te uniwersalne wartości wywodzący z innych źródeł, równi w prawach i powinnościach...”.

Były między nami jeszcze inne dyskusje, jak np. dotyczące pas-susu o „kulturze, zakorzenionej w chrześcijańskim dziedzictwie Narodu”, co oczywiście było prawdą, ale nie całą. Wydiskutowaliśmy „kulturę, zakorzenioną w chrześcijańskim dziedzictwie Narodu i ogólnoludzkich wartościach”.

Ostatnia kwestia, jaka nam pozostała, związana była z następującym fragmentem: „My... obywatele... w poczuciu odpowiedzialności przed Bogiem i własnym sumieniem, ustanawiamy Konstytucję...”. Takie sformułowanie oznaczało, że wszyscy obywatele głosujący za Konstytucją, zarówno wierzący, jak i niewierzący, biorą (poza sumieniem) także Boga na świadka. Nie mogłem zaakceptować takiego zapisu, a i mój klub na pewno by go nie przyjął. Zaproponowałem małą poprawkę: „...przed Bogiem lub przed własnym sumieniem...”. Rozwiązanie to było krytykowane przez przedstawiciela episkopatu, podnoszącego, że wierzący będą musieli wybierać między Bogiem a sumieniem. Nie był to zarzut prawdziwy, gdyż „lub” to nie to samo co „albo – albo”. Jest to tzw. alternatywa łączna, czyli może zajść tylko jedno z dwóch zdarzeń, ale mogą też zajść oba. Krytyków nie było jednak łatwo przekonać. Mazowiecki miał wszakże tę cechę, że jeśli już gdzieś doszliśmy do kompromisu, to brał na siebie zadanie jego obrony. To, co powiedział w tej sprawie, najlepiej go charakteryzuje: „Jeżeli chodzi o sprawę wyrazu »lub«, to wiem, że dla części członków Zgromadzenia Narodowego jest to sprawa zasadnicza. Osoby, które nie wierzą w Boga, nie chcą, aby im przypisywano, że zwracają się do Boga. Z tych powodów nie mogę zmienić tej formuły. Ponadto chcę dodać, iż jako człowiek nie mam prawa przymuszać nikogo, aby pod przymusem zwracał się do Boga. Takie są moje chrześcijańskie przekonania”.

Taki był Tadeusz Mazowiecki. I tak powstała preambuła, która – w kraju, gdzie nadal można usłyszeć (w tym z ambon), że prawdziwym Polakiem i człowiekiem moralnym może być tylko katolik, i gdzie politycy lekceważą neutralność światopoglądową państwa – uparcie przypomina, że wszyscy ludzie, bez względu na wyznanie, są równi i jednakowo zasługują na szacunek. Dlatego dziś, kiedy w bezprecedensowym dokumencie episkopatu o patriotyzmie czytamy: „obok katolickiej większości dobrze służyli naszej wspólnej ojczyźnie i nadal jej służą Polacy prawosławni i protestanci, wyznający judaizm, islam i inne wyznania oraz ci, którzy nie odnajdują się w żadnej tradycji religijnej” – to widzę w tym triumf preambuły Tadeusza Mazowieckiego i wszystkich nas, którzyśmy ten tekst czelowali. Dlatego gdy teraz prezydent Duda wzywa do opracowania nowej konstytucji, pytam: kto w ekipie rządzącej jest w stanie pełnić rolę Mazowieckiego, jeśli nawet pan Naczelnik, pan Prezydent i pani Premier razem wzięci nie sięgają mu choćby do ramion?



Prezydent Macron i premier Edouard Philippe (z lewej) oraz 11 kobiet, które weszły do nowego rządu Francji.

Sprytny rząd

Partie obawiają się, że część ich wyborców zdezerteruje do ugrupowania Macrona.

Nowy prezydent Francji Emmanuel Macron, który w kampanii wyborczej podkreślał, że nie jest ani z lewicy, ani z prawicy, powołał rząd tak skomponowany, by zachęcić tradycyjne partie do wielkiej koalicji. Premierem został Edouard Philippe, bliski współpracownik Alaina Juppé, do niedawna najpopularniejszego polityka umiarkowanej prawicy. Ministrem spraw zagranicznych został socjalista Jean-Yves Le Drian (dotychczasowy minister obrony, nawiasem mówiąc ten sam, którego Antoni Macierewicz obraził, zarzucając mu sprzedaż okrętów wojennych Rosji za dolara). Macron pozyskał też centrystów i ekologów. Teki społeczne i kultura nie przypadły politykom, lecz przedstawicielom społeczeństwa obywatelskiego. Taka synteza nie spodobała się kierownictwom partii tradycyjnych, zwłaszcza republikanom; zniechęcały one swoich działaczy do współpracy z Macronem przed zbliżającymi się wyborami parlamentarnymi (11 i 18 czerwca).

Od tych wyborów będzie zależał los nowego francuskiego rządu, zapewne tylko przejściowego. Formacja Macrona – dziś pod nazwą La République en Marche (LRM) – wystawiła do wyborów swoich kandydatów. Ale uczyniła to sprytnie: nie konkuruje ani z republikanami, ani socjalistami tam, gdzie tradycyjne partie mają już znanych i popularnych polityków, na przykład byłego premiera Manuela Vallsa. Macron liczy więc na to, że uda mu się całkowita rekompozycja sceny partyjnej. Partie tradycyjne odwrotnie – wystawiają własne listy wyborcze i obawiają się, zwłaszcza socjaliści, że część ich wyborców zdezerteruje do Macrona. Tak czy inaczej, mimo euforii zwycięstwa prezydenckiego, rząd Macrona nie będzie miał silnej pozycji; nie może liczyć na przyszłe poparcie 66 proc. postów w Zgromadzeniu Narodowym, jak prezydent w wyborach. Sondaże dają 32 proc. głosów LRM i centrystom, 19 proc. republikanom i zaledwie 6 proc. socjalistom. Opozycja: 19 proc. Front Narodowy i 15 proc. komuniści Mélenchona.

Trump w opałach

Szef FBI może pogrążyć prezydenta.

Donald Trump odbywa swoją pierwszą zagraniczną podróż, ale czy zepchnie ona w cień kłopoty prezydenta w kraju, gdzie prawnicy Białego Domu pracują już podobno nad udaremnieniem jego impeachmentu? W czwartek, kiedy ma się spotkać w Brukseli z francuskim prezydentem Macronem, w Waszyngtonie komisja Senatu będzie przepytując zastępcę prokuratora generalnego Roda Rosensteina w sprawie powiązań Trumpa i jego współpracowników z Rosją. Według „New York Timesa” na spotkaniu z szefem rosyjskiej dyplomacji Siergiejem Ławrowem prezydent nie tylko podzielił się z nim tajnymi informacjami uzyskanymi od izraelskiego wywiadu, lecz także zwierzał się, że zwalniając dyrektora FBI Jamesa Comeya, który prowadził dochodzenie w sprawie rosyjskich kontaktów, poczuł ogromną ulgę. Śledztwo to nazwał Trump „polowaniem na czarownice”, a Comeya „świrsem”. Były szef FBI wystąpił wkrótce przed senacką komisją ds. wywiadu i można przewidywać, że media amerykańskie poświęcą temu wydarzeniu nie mniej miejsca niż spotkaniom prezydenta na szczytach G7 i NATO.

Kreml-gate bada już specjalny prokurator Robert Mueller. Jego powołanie rozładowało narastający od tygodni kryzys w Waszyngtonie, bo Biały Dom może teraz do niego odsyłać dziennikarzy zadających niewygodne pytania. Mueller jednak ma zasłużoną reputację uczciwego, nieulegającego politycznym naciskom funkcjonariusza. Będzie dążył do rzetelnego wyjaśnienia sprawy, więc daleko jeszcze do rozproszenia chmur burzowych zgromadzonych nad głową Trumpa. Zwłaszcza jeśli prezydent nadal będzie pogarszał sytuację swoimi niekontrolowanymi tweetami.

Rohani znów prezydentem, ale kto Najwyższym Przywódcą?

Hasan Rohani pozostanie prezydentem Iranu przez kolejne cztery lata. Zwycięzca piątkowych wyborów dostał aż 57 proc. głosów – najwyższy wynik od 12 lat – i już w pierwszej turze pokonał kandydata radykałów Ebrahima Raisiego. Co więcej, uważany za reformatora Rohani dostanie wsparcie wielkich miast, bo w jednoczesnych wyborach lokalnych jego sojusznicy przejęli władzę m.in. w Teheranie i Mszhedzie. Pozycja prezydenta Iranu jest ograniczona wszechwładzą Najwyższego Przywódcy, dlatego wyborcy z wyrozumia-

łością ocenili przeciętną pierwszą kadencję Rohaniego. Nie przyniosła ona większych zmian w sytuacji politycznej i gospodarczej, poza umową nuklearną z sześcioma mocarstwami, dzięki której Iran zaczął wychodzić z międzynarodowej izolacji. Ale nawet ten sukces Rohaniego jest niepewny z powodu Donalda Trumpa, który w Arabii Saudyjskiej właśnie nazwał Irańczyków „głównymi sponсорami terroryzmu na Bliskim Wschodzie”.

Najważniejszą konsekwencją wyboru Rohaniego może być jego wpływ na wybór nowego Najwyższego Przywódcy. Obecny,

77-letni Ali Chamenei, sprawuje tę funkcję od 1989 r. i jest ponoć bardzo schorowany. Jego następcę wybierze 88-osobowe Zgromadzenie Ekspertów. Gdyby w ostatni piątek wygrał radykał Raisi, niemal na pewno nowy Najwyższy również pochodziłby z obozu radykalnego. Pytanie tylko, czy nadzieja związana z Rohanim to nie kolejna fałszywa nadzieja na zmiany, legitymizująca reżim ajatollahów – wspomniany Chamenei dzień po ogłoszeniu wyników powiedział, że tak wysoka frekwencja (73 proc.) „to kolejne zwycięstwo rewolucji”.

Śmierć Javiera Valdeza

Narkomafia wykonała publiczną egzekucję na meksykańskim dziennikarzu, który ją zwalczał.

Świat narko jest fascynujący: uwodzi, przyciąga, oferuje, ratuje i zarazem niszczy – mówił siedem lat temu, gdy poznaliśmy się w jego rodzinnym Culiacan, stolicy stanu Sinaloa, gdzie przebiega szlak kokainy, marihuany i narkotyków syntetycznych trafiających do USA. W zeszłym tygodniu, w sercu miasta, zamaskowani „cyngle” wyciągnęli go w biały dzień z samochodu, kazali uklęknąć, a następnie wystrzelili do niego 12 pocisków. Javier Valdez, 50 lat, sława dziennikarstwa śledczego, padł ofiarą egzekucji ludzi narko. Jest szóstym dziennikarzem zamordowanym w tym roku w Meksyku.

Dostawał prestiżowe nagrody w kraju i za granicą, znajdował się w polu uwagi nowojorskiego Komitetu Ochrony Dziennikarzy; jego książki – m.in. „Miss Narco”, „Narco-periodismo” – były szeroko komentowane. Ale sława i uznanie okazały się niewystarczającym parasolem ochronnym.

Za swoją niezależność Valdez płacił nieustającym strachem o życie swoje i najbliższych. Kilka lat temu opowiadał mi, jak do redakcji „Riodoce” – jedynego pisma w Culiacan niezależnego od karteli – wrzucono granat. „Nieznani sprawcy” zrobili to nad ranem, to było ostrzeżenie.



© EPA/PAP

Przyjaciele namawiali go do wyjazdu z kraju, ale nie chciał porzucić profesji. Jeśli się przestraszył i przestał publikować, jaki przykład dałby innym? W chwilach zagrożenia wyjeżdżał na kilka tygodni z miasta, a potem – jak tylko szybko mógł – wracał, uspokajając zatroskanych o jego życie znajomych, że zagrożenie minęło. – Maksyma „wszystkie drogi prowadzą do Rzymu” ma w Sinaloa lokalną wersję: „wszystkie drogi prowadzą do narko” – mówił gorzko, nie wiedząc, że wygłasza własne odwrócone epitafium. Mimo że się ukrywał i był ostrożny, narko trafiło w końcu i do niego.

ARTUR DOMOSŁAWSKI



i dziewczynek, w wielu krajach dziś one maleją. Albo co najwyżej proporcje te uległy zamrożeniu, ale nigdzie się nie pogorszyły. Według praw natury w Europie i Azji na 100 dziewczynek powinno przypadać 105 chłopców, a w Afryce – 103. Tymczasem, według najświeższych dostępnych danych, w Chinach jest ich 119 na setkę dziewcząt (w wieku 0–4 lata), w Indiach – 109 (w wieku 0–6 lat), a w bogatym Pendźabie nawet 118. W Indiach brakuje w statystykach 45 mln kobiet; albo się nie urodziły, albo zmarły bardzo młodo, ponieważ drastycznie brakowało opieki.

Albo po raz pierwszy w obu miliardowych gigantach światowej demografii te dysproporcje są dziś mniej dramatyczne; na przykład w Chinach w ciągu dekady jest o trzech chłopców mniej, a to w sumie bardzo dużo. Zmieniła się też sytuacja społeczna: młode kobiety są dużo lepiej wykształcone, częściej trafiają na rynek pracy

– zarabiają, więc i utrzymują rodziców, no i przede wszystkim przenoszą się do wielkich miast, daleko od swych paternalistycznych rodzin i rolnictwa, gdzie tradycyjnie w cenie byli chłopcy.

Na czarnej liście dysproporcji znajduje się też Wietnam, Pakistan, częściowo Indonezja, kraje Kaukazu. Ale np. ostatnio wypadła z niej Gruzja. Największa zmiana dotyczy zaś bez wątpienia Korei Południowej. Jeszcze w latach 90. rodziło się tu 116 chłopców, a do 2009 r. istniał w związku z tym zakaz informowania rodziców o płci dziecka, którego się spodziewają. Dziś są tu wzorowe proporcje 105 do 100. A co więcej, istnieje zjawisko *ddalbabo*, szaleństwa na punkcie dziewczynek, które ogarnęło południowokoreańskie społeczeństwo. I teraz, podobno, wszystko się odmieniło: to narodziny chłopca często przyjmuje się z konsternacją i smutkiem.

Popyt na dziewczynki

Ostatnie badania demograficzne potwierdzają trwały trend. Tam, gdzie istniały sztucznie osiągnięte dysproporcje w liczbie rodzących się chłopców

REKLAMA

Klimatyzacja bez jednostki zewnętrznej!



- +estetyczna elewacja
- +chłodzenie i ogrzewanie
- +bez zgody „architektury”
- +bez jednostki zewnętrznej
- +szybki montaż od wewnątrz

Idealne wszędzie tam gdzie, z jakiegoś powodu nie ma możliwości zamontowania klimatyzatorów typu split. Montaż, również samodzielnie. Nie potrzebna instalacja chłodnicza! Nie ma znaczenia piętro!

Pompa ciepła + Inwerter

BORYSOWSKI
Czysta satysfakcja

Ogólnopolska infolinia:
tel. 226 222 777, 227 514 777
www.borysowski.net

15 typów Made in EU



63 lata, o pokolenie młodszy mąż i rola pierwszej damy Francji. Czy Brigitte Macron to nowa Brigitte Bardot? Symbol kolejnej rewolucji obyczajowej, która już się dzieje, a jedynie potrzebowała ikony?

Czas Brigitte

MARTYNA BUNDA

Już dawno nic tak nie chwyciło. Przez kilka tygodni w portalach społecznościowych – tylko ona. „Pierwsza babcia”, „matka stanu”, „ta mumia”. „Wolna kobieta, taka, której nie da się do końca kontrolować; niebezpieczna, bo może mieć wymagania, skoro sama wymaga od siebie”. „Panie Macron, niech pan coś zrobi z tą Brigitte!”. Komentatorki, aktorki, celebrytki – jak Eliza Michalik, Agata Młynarska, Anna Dryjańska, Katarzyna; żony przy mężach i matki z głównej roli życiowej – jak Małgorzata Terlikowska; dziennikarze, publicyści – wszyscy o Brigitte. A pod każdym felietonem dziesiątki, setki wpisów. Nawet w memach – ona. Przerobiony dowód osobisty, z datą urodzenia dodającą jej (kolejnych) 10 lat jak burza poszedł po sieci.

W kolejnie

To paradoks, bo Brigitte Macron zupełnie nie zapowiadała się na rewolucjonistkę. Dużo młodsza od pięciorga rodzeństwa – i jedyna urodzona po wojnie w rodzinie fabrykantów czekolady, dorastała w Amiens (na północ od Paryża). Miasteczku zniszczonym przez wojnę i wciąż pełnym baraków tkwiących w miejscach domów, których nie odbudowano, za to pod najwyższym wówczas europejskim drapaczem chmur, wieżą Perret, bo „w tych trudnych czasach trzeba było dać ludziom trochę amerykańskości”. Rodzina była tradycyjna, dumna z prowadzonej od XIX w. manufaktury. A domy w Henriville, zwanym złotym kwartałem lokalnej burżuazji – gdzie mieszkali – wszystkie do siebie podobne.

Tak też – po mieszczańsku – wychowywano Brigitte: edukacja u jezuitów, wakacje w pobliskim le Touquet nad morzem, wśród konserwatywnych sąsiadów zjeżdżających na lato. Klasyczny podział ról, typowe kobiece zajęcia. W czasie gdy Francja w najlepsze pławała się w rewolucji seksualnej firmowanej nazwiskiem imienniczki Brigitte – Bardot (Brigitte z Amiens urodziła się dokładnie wtedy, gdy Bardot stawiała się supergwiazdą), przyszła prezydentowa kraju weszła w inny model. Jako zaledwie 21-latką została żoną. To wcześniej, nawet jak ja Henriville. W rok po ślubie urodziła pierwsze z trojga dzieci. W czasach gdy Bardot ogłaszała, że „świat jest tak mały, że wszyscy spotkamy się w łóżku” i pozowała do rozbieranych zdjęć dla „Playboya”, Brigitte Auziere pojechała za mężem do Strasburga. Jedynym odstępstwem od mieszczańskich norm było, że wyszła nie za chłopaka z któregoś z dobrych miejscowych rodów (jak siostry i sąsiadki), ale za kogoś z Paryża, w dodatku urodzonego poza Francją. Bankowca.

Gdy dzieci podrosły, a kontrakt w Strasburgu się skończył, Brigitte wzięła posadę nauczycielki literatury w szkole Providence w Amiens. Ów jezuicki kompleks od lat, od przedszkola aż po liceum, kształcił kolejne pokolenia dzieci lokalnych



© GETTY IMAGES

wyższych sfer. Mimo tradycyjnych korzeni Pro – jak nazywano szkołę – dawała uczniom trochę swobody; np. nauczyciel filozofii lubił prowadzić zajęcia w jednej ze śródmiejskich kawiarni, gdzie sadzał uczniów kołem na podłodze – lecz w końcu takie były czasy. Nauczycielka literatury, Brigitte, była żywiołowa, ale nie niekonwencjonalna.

Po szkole prowadziła zajęcia teatralne. Z jednym z uczniów, równolatką córki zaangażowanym w teatr, na jego prośbę zaczęła pisać sztukę. O miłości. W piątki spotykali się w jej domu, położonym niedaleko jego domu w Henriville, by pracować nad tekstem. Uczeń nazywał się Emmanuel Macron. Wszystko, co dziś mówią o swoim związku, sprowadza się do zapewnienia, że nim Emmanuel nie wszedł w pełnoletniość, nic niewłaściwego pomiędzy nimi nie zaszło.

Zmiana zmiennych

Rzeczywistość, w jakiej funkcjonują Polki, jest nie mniej konserwatywna niż dzielnica Henriville w Amiens. Jednak też mamy swój paradoks: – *Polki w poglądach są nie mniej liberalne niż inne Europejki. Rezygnują jedynie z przekucia światopoglądu we własną rzeczywistość* – tłumaczy Katarzyna Pawlikowska, ekspertka zachowań społecznych i konsumenckich kobiet, wykładawczyni w ISNS Uniwersytetu Warszawskiego.

Mamy swoje pełzające rewolucje, dla których Brigitte jest wymarzoną ikoną. Począwszy od związków z młodszymi. Od pokoleń trudno znaleźć panny dla kawalerów ze wsi, bo kobiety żyją w innych miejscach niż mężczyźni – wiadomo. Jednak dziś problem okazuje się pałą. W dużych miastach mamy większy niż kiedykolwiek deficyt mężczyzn (do tego stopnia, że niemożność znalezienia właściwego partnera to główny powód bezdzietności i dotyczy aż jednej trzeciej Polek!). Mieszkanek największych ośrodków zwyczajnie nie miały szans wejść w tradycyjny model (względnie wejść w nowe związki, jeśli rozczarowane wyszły z poprzedniego przez rozwód). Kiedyś tych kilkadziesiąt tysięcy pełnych życia czterdziestek i pięćdziesiątek skazanych byłoby na samotność. Dziś mają internet i portale randkowe.

Równolatków nawet nie szukają; ci chcą młodszych kobiet, względnie zasiedzieli się przed telewizorami i do reszty rozczłapali kaptcie. Okazuje się jednak, że czterdziestki oraz pięćdziesiątki mają wzięcie u 30-latków. Są dla nich atrakcyjne także w sensie fizycznym; na zachowawcze: „no wiesz, dziesięć lat”, oni pytają: „ale o co ci chodzi?”. – *Kobieta w pewnym wieku plus młodszy mężczyzna to jedna z niezauważonych, a zrealizowanych w praktyce rewolucji społecznych* – zauważa Katarzyna Pawlikowska. Dla tych kobiet Brigitte Macron jest żywym dowodem, że nie tyle łamią one jakieś normy, ile są pionierkami życiowej niezależności.

Co więcej, po Brigitte, pozującej w objęciach z młodszym o ponad 20 lat mężczyzną, widać wiek. Nawet do tego stopnia, że gdy do sieci wpuszczono skan dowodu ze zmienioną datą, publiczność uwierzyła w fałszywkę. Brigitte nie udaje dwudziestki. A 60-latki to kolejna pełzająca społeczna rewolucja. Ageizm, dyskryminacja ze względu na wiek, jest w Polsce, zdaniem badaczy, silniejszy niż gdziekolwiek w Europie. W kobiecych gazetach bohaterki tekstów muszą być przed czterdziestką. W serialach w zasadzie nie ma ról dla kobiet 40 plus, które miałyby osobowość oraz – o zgrozo! – seksualność. Wiek uchodzi ekspertkom, specjalistkom, o ile trzymają się roli. Maryli Rodowicz wolno biegać w ekscentrycznych kreacjach po scenie, z kalendarza nikt nie rozlicza posłanki Krystyny Pawłowicz, wypomina się jej różne przywary, ale akurat nie to, ile ma lat. Obie kobiety są starsze od Brigitte Macron. Każda jest jednak w swojej roli. Skryptu dla aktywnej życiowo i miłośnie związanej z młodszym mężczyzną kobiety w tym wieku – brak.

– *Rzeczywistość dawno odskoczyła od tych obrazów. W realności wiek powoli, ale konsekwentnie przestaje warunkować role społeczne. Bez oceniania, czy to dobrze czy źle, ale konkretne wydarzenia życiowe, do tej pory zarezerwowane dla poszczególnych etapów życia, zaczynają być możliwe dużo później* – diagnozuje Katarzyna Pawlikowska.

– *Zachodni biznes i moda zaczęły już to rozumieć. W jednym z popularniejszych dziś seriali, „Grace and Frankie”, Jane Fonda (lat 79) gra aktywną seksualnie producentkę gadżetów erotycznych* – opowiada Katarzyna Pawlikowska.

Teraz „dojrzałe kobiety”, jak się je eufemistycznie nazywa, mają swoją bohaterkę. W dodatku Brigitte, ta uprawiająca seks z młodszym o pokolenie mężczyzną babcia siedmiorga wnucząt, nosi szpilki i sukienki! I jakże ona wygląda na okładce „Paris Match” w kostiumie kąpielowym! To, wbrew pozorom, również ważny składnik tworzącego się mitu Brigitte.

Szukając szans na wydarcie mężczyznom trochę zagarniętych zasobów, feministki długo przekonywały kobiety, że nie wolno im stawiać się w rolach paprotek. Szpilki, szminki – precz. Kobieta jest człowiekiem! Ale kobiety chciały szminek. Może zbyt dobrze rozumiały, że atrakcyjność seksualna to jeden z nielicznych dostępnych kobietom atrybutów władzy, wikłający je, ale na pewno skuteczny. Poza tym pielęgnacja urody jest przyjemna – nie mniej niż pielęgnacja ogrodu; czy jest jakaś kultura, która nie ceni piękna? Powszechne kobiecie odczucie rozjechało się tu z postulatami feministek.

Nie chwycił też forsowany od lat 90. wśród kobiet przepis na sukces po męsku. One masowo odmawiały pięcia się w męskich strukturach korporacyjnego świata. Głównym powodem było nie lenistwo, brak ambicji czy kompetencji, nawet nie nawal domowych obowiązków. Jednostka społeczna mężczyzny to „ja”, kobiety – zawsze „my”. Pięcie się w tych strukturach, jakie dzisiaj mamy, zawsze oznacza rolę samotnego lidera. Kobiety, jak potwierdzają psychologowie, źle się czują w tej roli. One są tak samo zdolne, wydajne w rolach pracowników, ale genetycznie, hormonalnie – inne. (W stresie mózgi kobiet i mężczyzn reagują inaczej – to pierwsza z kostek domina). Pytanie, jak miałby wyglądać sukces, powodzenie, władza w wydaniu kobiecym, długo było otwarte. I oto jest Brigitte.

Jest i widać ją (co potwierdzają okładki „Paris Match”). To kolejny istotny wątek opowieści. Przed laty pisarka Olga Tokarczuk użyła w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” słowa niewidzialność – a termin wszedł do języka. Pisarka mówiła o specyficznym mechanizmie dotyczącym kobiety. W wieku poprokreacyjnym niemal z dnia na dzień stają się przeźroczyste. Niezauważalne i dla mężczyzn, i młodszych kobiet. To bardzo frustrujący kobiety mechanizm. Brigitte być może ukształtowała inna kultura; we Francji nawet o Simone de Beauvoir, pisarce, jednej z pionerek feminizmu – a przy okazji wielbicielce strojów ze słynnymi turbanami – mówiono, że „jak widać, egzystencja poprzedza esencję” – lecz co z tego? Brigitte jest wierna wszystkim kobiecym wartościom, jak macierzyństwo, miłość; realizowała wszystkie możliwe kobiece skrypty, łącznie z pielęgnowaniem urody. Trafia w wątki ważne i dla babek, i matek, i córek. Ma sukces. I jest wolna. Idealna na symbol.

Pół kroku za rewolucją

Nawet dla państwa Macron nie było jednak jasne, czy Brigitte nie okaże się dla męża wizerunkowym obciążeniem. On zastępca sekretarza generalnego, a potem ministrem, ona przez ponad trzy lata siedziała w ukryciu. Wszystko, co pojawiało się w internecie na temat ich prywatnego życia, natychmiast czyszczono. Macronowie byli osiem lat po ślubie, a w rządzie spekulowano, że Emmanuel jest gejem. W końcu któreś z nich – podobno właśnie Brigitte – zdecydowało, że wystar- ►